

ALOJZY LESZEK GZELLA

ur. 1932; Pelplin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, studia, Katolicki Uniwersytet Lubelski, filologia polska, polszczyzna, profesorowie

Studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim

1950 rok – matura, mój starszy brat już podjął studia, siostra była jeszcze w szkole, w gimnazjum i ja złożyłem papiery na uniwersytet toruński. Napisałem wtedy, że chciałbym studiować polonistykę i anglistykę. Od matury do rozpoczęcia studiów jest parę miesięcy, nie otrzymywałem żadnej odpowiedzi z uczelni, a wydawało mi się, że taka powinna przyjść, bo już koledzy z innych uczelni coś takiego otrzymywali. I pojawił się kolega starszy i mówi: „Słuchaj, na KUL-u można złożyć papiery w Lublinie, przyjmuje się tam bez żadnych egzaminów tych partyjnych, z zakresu tych politycznych spraw”. Mnie się wydawało, że chyba z moich studiów [w Toruniu] nic nie będzie, a to groziło od razu wciągnięciem do wojska, i ja odważyłem się we wrześniu wydobyć dokumenty swoje, świadectwo maturalne z kancelarii dziekanatu w Toruniu i zawiozłem je do Lublina. No i tu zostałem przyjęty. Oczywiście wszystko było jakoś tak opóźnione, szybkie, ale tu bez jakiegoś problemu [mnie] przyjęto. To był 1950 rok, ostatni rok, kiedy uczelnie jeszcze nie wprowadziły limitów liczby studentów przyjmowanych na poszczególne wydziały, sekcje i z tego pewnie też tutaj korzystaliśmy.

Na polonistyce w 1950 roku zaczęło studiować 350 osób, ponad 350 osób zapisało się. Podzielono nas na grupy, bo nie było takich sal, żeby za jednym niejako zamachem wszyscy mogli być uczestnikami wykładów. Ale i tak były wykłady międzysekcyjne i ponadsekcyjne, jak filozofia, logika, etyka, które w wielkiej auli prowadzili wykładowcy przy wielkim gremium jakimś. Ten czas studiów zaczynałem w formie takiego pełnego zagubienia. Raz, nie zostałem przyjęty do akademika, później się okazało, że ta decyzja była wynikiem błędnie sformułowanego przeze mnie pisma do władz akademika kulowskiego na ulicy Niecałej [Wyszyńskiego]. Napisałem „Katolicki Uniwersytet Ludowy”, nie „Lubelski”, było jeszcze „w Lublinie”, więc [wydawało mi się, że] to jest jakaś nielogiczność – „Lubelski w Lublinie”. Wiadomo – lubelski to w Lublinie. Jak to się wyjaśniło już, to ten kierownik dał mi arkusz papieru, poprawiłem, żeby nie było kompromitującego nagłówka w całym moim podaniu. To

był mój błąd oczywiście, ale przecierpiałem go, bo nie miałem gdzie mieszkać. Spotkałem na Krakowskim Przedmieściu gdzieś koło już pewnie dziewiątej wieczorem księdza i mówię, że nie dostałem akademika, a przyjechałem tutaj na studia na KUL, nie mam gdzie się zatrzymać, czy on może mógłby mi pomóc. Ja pochodzę z rodziny klerykalnej, mój wujek został przez Niemców zamordowany od razu na początku wojny w 1939 roku, inni bliscy krewni też byli osobami duchownymi, tak że to był taki jak gdyby z mojej strony gest nie wielkiej odwagi i nie wielkiej rozpacz – ja wiedziałem, że ksiądz zawsze może pomóc, w takim klimacie wyrastałem. I on powiedział, że on sam nie [może pomóc], bo on nie jest nawet proboszczem, ale żebym poszedł do dominikanów na Stare Miasto, wymienił imię brata jakiegoś, żebym do niego się zwrócił, to on ułatwi. U dominikanów oczywiście zatrzymałem się, oni prowadzili bursę dla chłopców na Starym Mieście i przez pierwszych siedem dni, może trochę dłużej, tu przebywałem, chodząc na zajęcia na uczelnię.

W tym pierwszym zderzeniu Lublin był jakiś taki zupełnie inny [niż miasta, które znałem]. Wszystkie domy były otynkowane, kościoły były bardziej barokowe, nie było gotyckich kościołów, nie widziałem. Na pewno nie byłem wtedy w kościele powizytkowskim. A już całkowicie mnie zaskoczył taki obrazek – jak wszedłem do kapucynów na Krakowskim Przedmieściu, w głównej nawie na środku leżał krzyżem człowiek. Nie mogłem tego zrozumieć, przypomniałem sobie od razu Trylogię Sienkiewicza, gdzie tam opisy jakieś były, ale ja nigdy czegoś takiego nie widziałem, żeby ktoś tak pokutnie się modlił w kościele. Fascynowała mnie ta postać, czekałem jakiś czas, że może się podniesie, ale nic takiego nie nastąpiło. No ten kościół kapucynów stał się później moim takim ulubionym kościołem, zwłaszcza że z akademika na Niecałej [Wyszyńskiego] było do niego najbliżej, aczkolwiek chodziliśmy głównie, również w niedzielę do kościoła akademickiego na KUL-u.

Polonistyka była tą dziedziną, która mnie fascynowała. Tu spotkałem kapitalnych wykładowców, którzy pociągali, którzy stawali się niejako przywódcami intelektualnymi. Zafascynowała mnie sprawa językoznawstwa, pani Maria Kossowska prowadziła z nami zajęcia z zakresu historii gramatyki języka polskiego i współczesnego języka polskiego. Był Tadeusz Brajerski, z którym mieliśmy zajęcia z gramatyki również i języka starocerkiewnego, który poszerzał orientację, tę znajomość kultury języka. To wszystko było fascynujące. A wykładowcy – profesor Araszkiwicz, który wydawał nam się już takim kompletnym staruszkiem, a on miał zaledwie tam sześćdziesiąt kilka lat. To był wykładowca, który również fascynować mógł pięknym językiem polskim. Posługiwał się tym językiem fantastycznie. Budował zdania, które zapisane w książce mają pół stronicę. I nie zgubił się, mówił to z głowy, nie pomylił ani gramatycznych jakichś układów, ani stylistycznych. To było fascynujące zupełnie dla Pomorzaka. My mieliśmy jednak na Pomorzu język przez te lata szkolne dosyć zachwaszczony i z gwarowymi naleciałościami. Ja pochodziłem z Kociewia, a kociewski język jest szczególnie gwarowy, więc to tak zawsze się mówiło,

że to jest gwara najbardziej odległa od języka literackiego. A Lubelszczyzna miała gwara najbliższą języka literackiego, w dialektologii to się podkreśla. Tak że mnie to wszystko fascynowało. Jakąś pracę językoznawczą pisałem o twórczości Aleksandra Majkowskiego, to taki poeta po kaszubsku piszący. Kociwyszczyna jest tuż obok Kaszubszczyzny i tam naleciałości były, przemieszczały się. Z historii był profesor Kosakowski na KUL-u, Zins [też] prowadził historię. Pojawili się w tym czasie na KUL-u profesorowie, którzy zostali wygnani z Torunia – profesor Irena Sławińska, profesor Czesław Zgorzelski. Oni jako młodzi naukowcy dawniej z Uniwersytetu [Stefana] Batorego zaaklimatyzowali się po wojnie w Toruniu, a później w 1950 roku, po wyrzuceniu ich przyszli tutaj do Lublina. I ja właściwie od początku uczestniczyłem w zajęciach, które prowadziła pani profesor Sławińska, byłem na jej proseminarium, seminarium, również na seminarium profesora Zgorzelskiego. To były coraz trudniejsze lata, do 1955 roku.

Dopiero w 1956 roku nastąpiło takie jak gdyby złagodzenie, mówiąc delikatnie, obyczajowości w Polsce. Wtedy też, w tej końcówce, zastanawialiśmy się nad tym, co będziemy robili po KUL-u. Jeszcze muszę dodać, że z tych ponad 350 studentów polonistyki do tego drugiego kursu polonistycznego – wtedy studia trwały trzy lata, dostawało się dyplom zawodowy i można było kontynuować studia dwuletnie, magisterskie – zakwalifikowano 51 osób i ja się w tej grupie też znalazłem. To były lata 1954-1955 i pamiętam, że zastanawiano się, co będziemy robili po tych studiach, bo kulowców już nie bardzo chcieli angażować, były kłopoty z tym poważne. Pamiętam, że profesor Zgorzelski kiedyś powiedział, że polonista nie musi pracować w swoim zawodzie, nie musi być pedagogiem, nie musi wychowywać innych pokoleń – zresztą my już specjalności mieliśmy: bibliotekarską, wydawniczą i pedagogiczną na tym magisterskim kursie – i mówi: „Jeżeli masz charakter, to nawet z dyplomem magistra możesz kłaść bruk”. Myślę, że to było związane z tym, że dopiero na Krakowskim Przedmieściu likwidowano jezdnie brukowane i zalewano je asfaltem. Na początku, jak przyjechałem tu w 1950 roku, to asfaltowe ulice były dwie chyba, Chopina, i to nie do końca, i ulica Spokojna, tam gdzie urząd wojewódzki, był asfalt i może kawałek na Wieniawskiej. To cały asfalt, który się kończył, wszystko było brukowane. Rzadko kiedy korzystałem z autobusu, żeby jechać z placu Litewskiego na KUL, zresztą dwie linie były, czwórka, która z Dziesiątej szła, i piątka, która w tamtym kierunku też podążała, nie było tych autobusów zbyt dużo. Żadnej przyjemności się nie miało, ponieważ ten autobus telepał się po bruku niesamowicie. Wydaje mi się, że to były takie pierwsze jak gdyby zderzenia od tej strony cywilizacyjnej, które tutaj się napotykało, które tutaj były jakimś udziałem naszych młodych obserwacji.

Data i miejsce nagrania	2006-02-08, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski, Marcin Fedorowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"